

Historie (nie)zwykłych ludzi

Co mam zrobić i na kiedy?

W tym roku będziemy obchodzić 30. rocznicę powstania „Solidarności”. Nasz kościół – sanktuarium Matki Bożej Robotników – jak mówiono nań w czasach, kiedy walczono z komunistyczną opresją, był ostoją nie tylko dla robotników. Na Msze za Ojczyznę przychodzili też uczniowie, inżynierowie, nie brakło też domowych gospodyń i profesorów z całego Wrocławia i nie tylko, a uświetniali je często artyści scen wrocławskich. O tamtych czasach, ale i o tym, co dzisiaj można zrobić z doświadczeniami walki o wolną Polskę rozmawiamy z Romualdem Andrzejem Siepsiakiem.

Głos Pocieszenia: Robił Pan w życiu dużo różnych rzeczy: był Pan marynarzem, związkowcem, działaczem podziemia, wyższym urzędnikiem państwowym – generalnie, człowiekiem bardzo aktywnym. Co z tego uważa Pan za swoje największe osiągnięcie?

Romuald Andrzej Siepsiak: Trójkę dzieci, w tym Proboszcza tej parafii. To jest mojej żony i mój największy życiowy sukces. Może zabrzmie to trochę nieskromnie, ale nigdy nie przypuszczałem, że mój syn będzie odprawiał Mszę św. przy tym samym ołtarzu, przy którym odprawiał ją ks. Adam Wiktor. Przepiękna jest historia tego kościoła i być tutaj proboszczem to naprawdę zaszczyt. I to zarówno dla naszego syna – Jacka, jak i dla nas obojga.

Jak Pan się zetknął z naszą parafią, mieszka Pan przecież od lat na Biskupinie?

Nie pamiętam, kiedy byłem tu po raz pierwszy, ale było to na tzw. Mszy św. za Ojczyznę, gdzieś chyba pod koniec 1984 r. Od tego momentu raz w miesiącu, czasami trochę rzadziej, bo różnie było z tymi Mszami (szczególnie jesień w nie obfitowała wrzesień, listopad), przychodziliśmy do kościoła chyłkiem, ukradkiem, między opłotkami, bo dotrzeć tu nie było łatwo. Stały tu „żywe płoty” tajniaków, którzy legitymowali wszystkich idących w stronę kościoła. Jak się już tu doszło, to czuło się wolność, braterstwo. Podniesione w znaku zwycięstwa ręce na Mszach św. Ręce, które omdlewały.

To nie były tylko ręce podniesione do góry, palce w kształcie litery V i wspólne śpiewy, ale także wspólne działania. Co wtedy robiliście? Pan miał za sobą działalność związkową, internowanie.

Tego było bardzo dużo, ale tutaj, w parafii polegało głównie na rozmowach, wzajemnym wspieraniu się. W zasadzie działałem w swojej parafii św. Rodziny, pracowałem w Biurze Projektów, działałem przy Zarządzie Regionu, więc tutaj przychodziłem po wsparcie i doładowanie akumulatorów zarówno na Mszach, jak i w Duszpasterstwie Ludzi Pracy. Piliśmy herbatkę (panie przynosiły ciasto, mimo trudności rynkowych) i omawialiśmy wiele rzeczy, czuliśmy się jedną wielką solidarnościową rodziną, którą Pan Bóg błogosławi.

Wymieniają Pana jako jednego z organizatorów Mszy za Ojczyznę.

To przesada, byłem uczestnikiem tych Mszy i kilkakrotnie u księdza Adama je zamawiałem. Na ścianie kościoła wisi też różaniec, który złożyliśmy jako wotum, zamawiając Mszę św. w intencji sieci Biur Projektów. Zrobiliśmy go wspólnie z Erhardem Klozą na każdym paciorku różańca jest skrót nazwy jednego z Biur Projektów, które były wtedy w sposób niejawni połączone w związkową sieć. Na innej Mszy św. złożyliśmy jako wotum puszkę na komunikanty. Składaliśmy jeszcze inne wota, ale już ich nie pamiętam, bo były przygotowywane przez różne Biura Projektów i nie zawsze przechodziły przez moje ręce.

Jak dogadywaliście się w sprawie wyboru wotum, jego wykonania, wspólnej reprezentacji podczas Mszy św.?

Wtedy nie było oficjalnych spotkań, zebrań; nawet te tajne zebrania, które się odbywały były poświęcone drobiazgom lub uczestnictwu w większych akcjach ogólnopolskich lub ogólnowrocławskich organizowanych przez Biura Projektów. Działaliśmy zgodnie z zasadą – „jeśli wymyśliłeś, to zrób to”, ewentualnie powiedz jak chcesz to zrobić i jakiej pomocy potrzebujesz. Działania były w sporej części spontaniczne i nie do końca zorganizowane, a i z tą konspiracją mieliśmy trochę kłopotu. Pamiętam jedno takie spotkanie z Zygfriedem Zaporowskim, ówczesnym szefem porozumienia Biur Projektowych, późniejszym wiceprezydentem Wrocławia. Spotkania były oczywiście tajne, byliśmy na nie doprowadzani przez łączników. Przyszedł łącznik, który powiedział, że jest organizowane spotkanie przedstawicieli Biur Projektowych, na którym mam być. Z domu wychodziło się wcześniej, aby na miejscu spotkania być o dokładnie określonym czasie. Była taka zasada, że wcześniej trzeba trochę pokrażyć w pobliżu miejsca spotkania, a dopiero o określonej godzinie wejść na kolejny punkt kontaktowy. Wtedy przychodził ktoś i prowadził dalej. I tym razem też tak się stało. Zjawił się człowiek, wymieniliśmy hasła i poprosił, bym z nim poszedł. Kawalek dalej przejął mnie następny łącznik, doszliśmy do klatki schodowej miałem iść na trzecie piętro, mieszkanie nr 17. Zapukałam, drzwi otworzyła mi kobieta dobra znajoma z naszego Biura Projektów, owszem przychylna Solidarności, ale nie jakaś specjalnie zaangażowana działaczka. Usiedliśmy, zaczęliśmy rozmawiać za chwilę znowu dzwonek do drzwi przyszła następna osoba. A zaraz jeszcze jedna. Kiedy przyszła czwarta osoba, pomyślałem, że coś jest nie tak. Zwróciłem się do znajomej z moimi wątpliwościami, nadmieniając, że mamy u niej wyznaczone spotkanie przedstawicieli Solidarności Biur Projektów, na co ona odpowiedziała, że nic jej o tym nie wiadomo. Okazało się, że spotkanie miało się odbyć u pana Zaporowskiego pod nr. 19., dokładnie w mieszkaniu naprzeciwko, gdzie zresztą gospodarz, bardzo zdenerwowany, nie wiedząc co się dzieje, dlaczego nikt nie przychodzi czekał na nas. Nie wiem, na którym etapie zdarzyła się pomyłka, ale spotkanie w końcu się odbyło. W ten właśnie sposób się komunikowaliśmy i spotykaliśmy.

Ta historia miała dla Pana dobre zakończenie, ale nie zawsze się udawało czasami kończyło się aresztowaniem.

Tak, Służba Bezpieczeństwa namierzała ludzi, węszyła, była wyczulona na wszelkie możliwe przejawy współpracy z podziemiem, aż w końcu im się coś udawało. Kiedyś szedłem z innym przedstawicielem Biura Projektów Włodkiem Kowalczykiem, i postanowiliśmy przejść spod Politechniki na Biskupin piechotą, aby mieć czas na bezpieczną (jak nam się wydawało), solidarnościową dyskusję. W okolicach ulicy Promień zauważyliśmy samochód, przy którym robił coś znany mi mechanik. Okazało się, że zepsuł mu się rozrusznik, więc pchnęliśmy samochód, żeby silnik zapalił. Potem rozeszliśmy się do domów. Po dwóch dniach Kowalczyk mówi do mnie, że spotkał owego mechanika, który żalił się, że była u niego SB. Jak się okazało „ktoś” nas obserwował, gdy pomagaliśmy mu przy samochodzie i wmawiano mu, że z nami współpracuje. Jakiś czas później, esbecy zawitali i do mnie. U nas w domu produkowano dość dużo ulotek. Były robione w typowym sitodruku i na linorycie. Kiedy z kuzynem wyprodukowaliśmy jakieś 500 ulotek formatu A4, trzeba je było wysuszyć, a potem pociąć. Żeby je wysuszyć, rozłożyliśmy wszystko w dwóch pokojach. Skończyliśmy robotę tuż przed północą. Rano, kiedy żona wyszła do pracy, a dzieci do szkoły, zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Otwieram, a tu SB. Weszli i zobaczyli tę suszącą się „bieliznę” w całym mieszkaniu, więc nic dziwnego, że mnie zwinęli. Oczywiście przeszukali całe mieszkanie, trochę rzeczy zatrzymali. Tłumaczyłem się, że 15 minut przed przyjściem SB mężczyzna w ciemnym płaszczu, kapeluszu i okularach przyniósł mi paczkę, mówiąc, że to od Frasiuniuka. Przyjąłem ją z wielką radością i otworzyłem, a tam były ulotki. W areszcie (najpierw na pl. Muzealnym, a później przy ul. Świebodzkiej) przesiedziałem prawie 5 miesięcy (14 marca – 25 lipca 1984). Wyrok brzmiał ostatecznie: zwolniony z powodu amnestii. Nie udowodniono mi winy, ale też nie stwierdzono, że jestem niewinny.

Czyli ta „przygoda” miała szczęśliwe zakończenie?

Niestety, nie do końca. Kodeks Pracy stanowi, że jeśli wyrok brzmi niewinny, to wraca do pracy i otrzymuje zwrot pieniędzy za czas nieobecności, a w przypadku zwolnienia z tytułu amnestii Kodeks Pracy milczy i dlate-

go poniosłem konsekwencje takie, jak osoba winna. Mój pracodawca z tego skorzystał i „wyleciałem” z pracy. Staralem się o zatrudnienie w Biurze Melioracji Wodnych, gdzie wicedyrektor początkowo bardzo się ucieszył z możliwości zatrudnienia wykwalifikowanego inżyniera-mostowca, ale po powrocie z urlopu dyrektora placówki, zapewne po otrzymaniu wytycznych od wciąż obserwującej mnie Służby Bezpieczeństwa, odesłał mi dokumenty. Przy następnej okazji skorzystałam z istniejącego przepisu o amnestionowanych więźniach, który mówił, że przedsiębiorstwo ma obowiązek w pierwszej kolejności zatrudnić takich jak ja. Wybrałem Miejski Zarząd Ulic i Mostów. Przyjęto mnie i przez parę lat byłem odpowiedzialny za stan i remonty wrocławskich mostów. Miałem ich w zarządzie ponad 100, nadzorowałem, m.in. remonty mostu Grunwaldzkiego i Zwierzyńskiego. Stoją do dziś i nawet mają się dobrze. To była fajna robota i tam też działałem w Solidarności.

W 1986 r. publicznie manifestował Pan, stojąc pod wielkim transparentem w ruchliwym punkcie miasta, swój sprzeciw wobec aresztowania i skazania Władysława Frasyniuka. Ze strony milicji mogliście spodziewać się pałek, aresztowania czy uwięzienia. Do tego było potrzeba chyba sporo odwagi?

Udział w tej demonstracji był wynikiem moich przemyśleń i przekonań. Nie byłem zwolennikiem starć ulicznych, choć jak się okazuje, były one konieczne. To jednak osobna sprawa. Uważałem, że szczerze przedstawianie swoich poglądów komuś o poglądach przeciwnych, twarzą w twarz, jest rzeczą normalną. Bez przemocy, traktując siebie nawzajem jak partnerów. Za pomyłki Ktoś inny nas osądzi. Dzisiaj irytują mnie rozmowy w telewizji czy radiu, kiedy zacietrzewieni ludzie, niekoniecznie różniący się poglądami, usiłują nam, słuchaczom, coś wmówić. Tak się wtedy nawzajem zagłuszają, że przestają sami rozumieć, co mówią. Oni tylko samych siebie słyszą. I tak samo bywa w życiu. My nie mieliśmy żadnych szans przy pałkach, gazach czy armatkach wodnych. Podobało mi się, kiedy dziewczęta wychodziły przed szereg demonstrantów, i wkładały zomowcom kwiaty w lufy karabinów czy szczeliny tarcz. Chcieliśmy rozmawiać bez przemocy. W kilka osób z Tomaszem Wójcikiem, Andrzejem Falkiewiczem i Marianem Suskim, spotykaliśmy się wtedy w „katakumbach” u oo. dominikanów z o. Ludwikiem Wiśniewskim i podejmowaliśmy decyzje o różnych formach demonstracji. Podczas naszego pokojowego protestu pod transparentem nie spodziewaliśmy się pałek, bo byliśmy nastawieni na to, że nie będziemy się z milicją i SB, np. podczas zabierania transparentów, szarpać. Ustaliliśmy, że będziemy bierni wobec agresji. W takich wypadkach ówczesna milicja nie używała już przeważnie siły. Byliśmy jednak przekonani, że poniesiemy konsekwencje, że nas zatrzymają. Ale do tego już się trochę zdążyłem przyzwyczaić. Wtedy na przesłuchaniach mówiłem wprost, że jest „Solidarność”, że z pewnymi rzeczami się nie zgadzamy. Nie twierdziłem, że nigdy nic nie robiłem. Oczywiście nie podawałem faktów. Po raz pierwszy zatrzymano mnie tu, na Grabiszyńskiej, przy zajezdni MPK. Przyszedłem z goździkiem, przy tablicy ustawionej w 1981 roku dla uczczenia powstania „Solidarności” było już parę osób. Nagle pojawiło się kilku „smutnych panów”, którzy zaczęli wypytywać nas o to, co w tym miejscu robimy i jakim prawem składamy kwiaty pod tablicą. Odpowiedziałem, że „prawem wolnego obywatela”. Zabrano mnie do suki, zawieziono na komisariat przy ulicy Jaworowej, gdzie było już sporo ludzi. Przytrzymali mnie kilkanaście godzin, spisali i wypuścili. I od razu wręczyli wezwanie na kolegium. A wracając do pytania o odwagę do tego potrzeba było takiej samej odwagi, jak wtedy, gdy stawiało się z transparentem. Zresztą, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję o wyrażeniu sprzeciwu wobec zła, czyż nie potrzeba odwagi? Wtedy było to publiczne manifestowanie swoich poglądów, a teraz się tego unika. Chyba, że jest to pewnego rodzaju ekstrawagancja.

W jaki więc sposób można się wykazać odwagą w dzisiejszych czasach?

Po prostu być sobą, mówić wprost to, co się myśli. Często stawiamy sobie pytanie o mniejsze zło czy mówić komuś w oczy, że nie tak postępuje; jak to zrobić, żeby kogoś nie urazić to bywa trudne i wtedy ryzykujemy, że stracimy przyjaciół, znajomych, albo nasze u nich poważanie, ale przeważnie jest tak, że boimy się głównie o ... nasz święty spokój. No i nie tylko mówienie. Swoją postawą można czasem więcej wyrazić niż słowami. Często nam, katolikom, zarzuca się, że wstydzimy się swojej wiary, że publicznie nie przeżegnamy się, nie modlimy, odwracamy od księdza idącego z Najświętszym Sakramentem do chorego. Spotkałem się nawet z takim stwierdzeniem u wyznawców Mahometa, że to oni zawładną Europą, ponieważ my wstydzimy się swojej religii

i mamy mało dzieci. Stąd zawładnięcie Europą jest dla nich kwestią czasu. Oni swojej religii nie wstydzą się, demonstrują ją publicznie. Ich argumentacja i świadectwo są dość mocne. Weźmy to pod rozwagę.

Jak pańskie zaangażowanie w niezależną działalność wpływało na życie rodziny?

Różnie bywało. Byłem zaangażowany w wiele inicjatyw i przez to jako ojciec mniej czasu poświęcałem rodzinie. To zasadnicza sprawa, ponieważ rodzina cierpiała. Kiedy „siedziałem”, nie było mnie i rodzina znowu cierpiała. Był to czas najtrudniejszy dla mojej żony, która musiała się troszczyć o utrzymanie i wychowanie trojga dzieci w bardzo trudnych warunkach materialnych. Wydaje mi się jednak, że moja postawa wtedy, w dużym stopniu zaważyła na dzieciach, na ich postawie. Miałem ich pełne poparcie i w tej chwili wyczuwam, że pozytywnie oceniają to, co wtedy robiłem. Byłem dla nich jakimś autorytetem i to, co działo się w Polsce, we Wrocławiu, było odbierane w podobny sposób zarówno przeze mnie, jak i moją rodzinę. Dzieci też w jakiś sposób miały w tym swój udział. W tym czasie były mocno zaangażowane w działalność ruchu oazowego, robiły swoją „robotę” i nosiły swoją „bibułę”. Kiedyś moja córka Ewa wracała ze spotkania oazowego z torbą wypełnioną formacyjnymi materiałami oazowymi, które pomimo swojego religijnego charakteru, też musiały być drukowane nielegalnie. Ludzie w tramwaju odsuwali się od niej, bo nie wiedzieli, co to za „bibułę” wiozła. W jakiś sposób to, co robiłem, formowało moje dzieci i myślę, że wydało owoce w późniejszym czasie.

O co teraz powinniśmy prosić Pana Boga modląc się za Ojczyznę?

O to samo, co kilkanaście lat temu żeby nasi rządzący zarządzili mądrze, żeby nie zapominali o ludziach na dole, żeby w Polsce było coraz sprawiedliwiej. Celem jest człowiek, dobro bliźniego przecież o to modliliśmy się wtedy, choć może inaczej to wyrażaliśmy, chyba bardziej żarliwie. Kiedyś podczas rozmowy w obecności Ojca Wiktora i innych jezuitów zadałem pytanie: „Czy lepiej jest teraz, kiedy mamy ucisk komunistycznej władzy, ale kiedy ludzie tłumnie przychodzą do kościoła, są zasluchani w Słowo Boże i dyskutują manifestując swoją wiarę i żarliwość, czy lepiej będzie kiedyś, już w wolnej Polsce, kiedy będziemy mieli dużo wolnego czasu i pieniędzy, i zamiast iść do Kościoła będziemy wyjeżdżali na kilkudniowe weekendy?”. Dochodziły do nas wiadomości, jak mieszkańcy Zachodniej Europy spędzają dni wolne, że z urzędu płacą podatek na Kościół, potrącani przy pensji. Że Kościoły na Zachodzie miały pieniądze, często nam pomagały, ale ... nie miały wiernych. Ojcowie odpowiedzieli, że „może tak źle nie będzie”. Ta kwestia teraz wraca. I u nas też tak zaczyna się dziać.

Pańskie zaangażowanie w publiczną działalność nie skończyło się z momentem wyjścia z podziemia, ani nawet po przejściu na emeryturę. Jest Pan czynnie zaangażowany w życie parafii św. Faustyny na Biskupinie.

Nigdy nie przyjąłem żadnej funkcji związanej z Radą Parafialną, od młodości, kiedy z rodzicami lub z babcią chodziłem do Kościoła jestem przekonany o tym, że Msza św. i podstawowe działania Kościoła są najważniejsze. Często przy kościele działa tyle różnych grup, ilu jest chętnych do liderowania i ci liderzy wyznaczają sobie pole działania, grupując wokół siebie ludzi. Nie wiem, czy to jest dobre, czy złe. Na tym samym różańcu modlą się trzy różne grupy, choć inaczej się nazywają. Czy nie mogłyby tego robić razem? Bardzo ucieszył mnie tegoroczny parafialny opłatek w naszej parafii wszystkie grup spotkały się razem; do tej pory każda z grup robiła takie spotkanie oddzielnie. Było ciasno, ale ... to mi się podobało.

Jeśli chodzi o moje zaangażowanie w życie parafialne jeśli jest potrzeba zrobienia czegoś, po prostu pytam: co mam zrobić i na kiedy. Powiedziałbym nawet, że stało się to takim moim hasłem osobistym – „Co mam zrobić i na kiedy”. Nie ja jestem od decydowania, co trzeba zrobić, a pracy w ciągle budującej się parafii (formalnie istnieje od 2003 roku) jest bardzo dużo trzeba zrobić posadzkę, wydzielić przedsiónek Kościoła, zrobić kaplicę adoracji Najświętszego Sakramentu itd. Tych prac wystarczy jeszcze dla wnuków i prawnuków, ale co robić i w jakiej kolejności o tym decyduje gospodarz, czyli proboszcz. Sam wszystkiego nie robi, ale od tego jest zwierzchnikiem, żeby poszukał sił wykonawczych. On wie, co potrafię robić, że dysponuję komputerem i aparatem fotograficznym. I że mam sprawne ręce, choć coraz mniej zdolne do pracy fizycznej.

Życzymy, żeby i sprawne ręce jeszcze długo służyły, a i by z Pańskiego doświadczenia chciano jak najczęściej korzystać. Szczęść Boże!

Romuald Andrzej Siepsiak (1937) absolwent Politechniki Wrocławskiej. Od września 1980 roku działał w NSZZ „Solidarność” w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego we Wrocławiu. Był współzałożycielem „Solidarności” w tym Biurze i pierwszym przewodniczącym Komisji Zakładowej. Współzałożyciel „podziemnego” pisma „Aspekt”; internowany w 1982 r. w Głogowie. W marcu 1984 roku aresztowany, a w lipcu 1984 roku zwolniony na mocy amnestii. Jako członek Wrocławskiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w znaczący sposób przyczynił się do zwycięstwa ówczesnej opozycji w wyborach parlamentarnych w 1989 roku i samorządowych w 1990 roku. Kandydował w wyborach do Senatu w 1991 r. W latach 1989-99 zatrudniony na wysokich stanowiskach w administracji wojewódzkiej i rządowej. W roku 1999 dyrektor Wydziału Zarządzania Kryzysowego w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu. Od 2002 roku na emeryturze; swój wolny czas poświęca aktywnej działalności na rzecz środowiska lokalnego, m.in. zorganizował wystawę fotograficzną o parafii i opracował historię powstania kościoła św. Faustyny na Biskupinie. Odznaczony Srebrnym (1997) i Złotym Krzyżem Zasługi (2001), laureat Nagrody Wrocławia za rok 2009.

*W imieniu Głosu Pocieszenia rozmawiał Bogdan Szyszko
współpraca – Agnieszka Król*